

Ottawa, dnia 20 lipca 2001 r.

**Fr Jan Sadowski, OMI**  
**201 LeBreton Street N.**  
**Ottawa, ON**  
**KANADA K1R 7H9**  
**E-mail: omijans@hotmail.com**

Z Kanady po raz dziewiętnasty

### **Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Niepokalana!**

W ostatnią sobotę i niedzielę maja ministranci i Krucjata Eucharystyczna odwiedzili największe w świecie Sanktuarium świętej Anny, najstarsze miasto w Ameryce Północnej, najstarszy kościół w Kanadzie (1720) i największe w świecie Sanktuarium świętego Józefa. Byli zmęczeni, ale szczęśliwi. Szczęśliwi byli też opiekunowie, gdyż w tym roku nie było żadnych problemów wychowawczych, a w wesołym miasteczku w Montrealu tylko jedna uczestniczka popłakała trochę, gdyż nie mogła jeździć kolejką górską, była zbyt mała. Po prostu organizatorzy dbając o bezpieczeństwo nie dopuszczają zbyt małych dzieci. Szkoda tylko, że deszcz przeszkodził w zabawie, którą trzeba było skrócić. Ale właśnie dzięki temu był czas do odwiedzenia Świętego Józefa.

Na początku czerwca naprawiłem błąd zesłorocznego urlopu i poleciałem do Chicago. Tym razem parafianie dali mi bezpłatny bilet, sami zapłacili całe 20 dolarów, inna rodzina postarała się o to, abym miał gdzie spać. O jedzenie już sam się martwiłem, co nie było trudne. W USA, jak i w Kanadzie, wszędzie dużo różnych jadłodajni, oby tylko wytrzymał żołądek i portfel. Błąd komputerowy sprawił, że zapoznałem Brazylijczyka w duchu podobnego do mnie. Podczas tegorocznego urlopu wybrał do oglądania Paryż, Berlin, Warszawę, Kraków, Wiedeń, Rzym, Madryt, Toledo i na dwa ostatnie dni Chicago. Nauczył mnie znajdować tanie jadłodajnie, w których za 7-8 dolarów można kupić obiad wartości przynajmniej 25 dolarów w restauracji. Porozumiewaliśmy się z trudem przy pomocy czterech języków (angielski, francuski, włoski i portugalski), ale to nie przeszkadzało, aby szybko pokonywać odległości między muzeami, a powoli przechodzić między eksponatami. Wyjątkiem była galeria sztuki współczesnej. Dzieci ładnie malują. Przekonałem się również, że można dowiedzieć się czegoś nowego nawet wówczas, gdy poznało się kilka innych muzeów o tej samej specjalizacji w różnych miastach czy państwach.

W drugim tygodniu czerwca zawiózł mnie mój proboszcz do Mississauga (półmilionowe miasto koło Toronto). Doroczne rekolekcje kapłańskie prowadził Asystent Generalny naszego Zgromadzenia, Oblat z Zairu, o czarnym kolorze skóry. Nie wszystko rozumiałem, chociaż mówił bardzo prosto i wolno po angielsku. Ale dłuższy czas w jego pokoju rozmawialiśmy po francusku, który jest jego i moim drugim językiem. Po polsku powiedział poprawnie kilka prostych zdań. Jednak istotną rzeczą było wspólne przeżycie prawie pięciu dni wśród Oblatów mieszkających w Kanadzie od Ottawy do Vancouver nad Pacyfikiem.

A potem ojciec proboszcz wyleciał do Polski i zostałem sam. Nastąpiły więc dla mnie ciężkie dni. Pewnego dnia przez telefon zostałem zapytany, czy polski chór nagrodzony złotym medalem na konkursie w Watykanie może zaśpiewać podczas i po Mszy Świętej w naszym kościele? Zapewniono mnie, że będą to pieśni religijne, bo tylko takie śpiewają. Niestety, rzeczywistość była inna. W piątek przez pół godziny przed Mszą Świętą w naszym kościele jest adoracja Najświętszego Sakramentu. W czasie tej adoracji chórzyci weszli do kościoła, udali się prosto na chór i od razu rozpoczęli próbę organów. Już bez modlitwy schowałem Najświętsza Sakrament do Tabernakulum. Podczas Mszy świętej zaśpiewali pięknie dobrze dobrane pieśni, także po łacinie (Gaude, Mater Polonia). Jeden z chórzystów także był lektorem i ministrantem. I to mi się podobało. Niestety, po Mszy świętej stanęli przed ołtarzem i po trzech pieśniach religijnych

zapowiedzieli niereligijne. Podczas śpiewu „Wojenko, wojenko...” wyszedłem. Mówiono mi potem, że była też pieśń typu kabaretowego za szczekaniem pieska i miauczeniem kotka. W niedzielę więc modliłem się o miłosierdzie Boże dla tych, którzy zapominają o szacunku dla domu modlitwy i mieszkania Boga żywego. Nie tylko ja wyszedłem, bo jeszcze w czasie koncertu miałem telefon, kto jest odpowiedzialny za wykonanie takiego programu w kościele? Niestety, ja. Po prostu uwierzyłem osobie organizującej występy tego chóru w Ottawie. Jedyne korzyści: miałem okazję wyznać moją wiarę w rzeczywistą obecność w Tabernakulum Chrystusa pod postacią chleba. Sprawa nie jest zakończona, gdyż grupa parafian i to nie dewotów oczekuje oficjalnego przeproszenia za zniewagę ich uczuć religijnych. Ja nie miałbym pretensji do tej grupy naprawdę pięknie śpiewających chórzystów, gdyby zaśpiewali te same pieśni na sali pod kościołem. Przecież w Kanadzie istnieją takie sale parafialne do takich celów. Odmówiłem przyjęcia prezentu, ale ten sam dysk sobie kupię, gdyż piosenki w ich wykonaniu są naprawdę warte słuchania. Niestety, nie mogę tu podać nazwy tego chóru po tym wszystkim, co tu napisałem.

Ta smutna sprawa przypominała mi anegdotkę o Papieżu Błogosławionym Piusie IX, którego pewien dyplomata prosił, aby go ogłosił świętym. „Ludzi żyjących nie mogę ogłaszać świętymi” – odpowiedział Papież. „Ale ja już byłem pozornie zmarłym”. „Wobec tego mogę pana ogłosić pozornie świętym”. Może ludzi broniących artystów śpiewających niby „na chwałę Bożą” nazwać pozornymi katolikami? Pomimo całego mojego uznania dla ich dobrej woli jest to smutne.

Miałem też nieszczęście odprawiać Mszę Świętą z takimi życzeniami rodziny zmarłej, że nasz organista nie zgodził się ich spełnić i odmówił grania podczas Mszy świętej pogrzebowej. Bliskim chodziło nie tyle o modlitwę, ile o koncert pieśni lubianych przez zmarłą. Organistka z zakładu pogrzebowego chyba nigdy nie była na Mszę świętą, dlatego po prześpiewaniu pierwszej modlitwy odprawiałem już bez śpiewu. Zresztą nie było nikogo, kto chciałby odpowiadać na zwykłe wezwania. Po prostu ceremonia religijna bez modlitwy. Na szczęście, przedstawiono mi program przed Mszą Świętą - były tam tylko pieśni religijne.

Przy dobrej woli można jednak dojść do porozumienia. Po rozmowie z rodzicami i założycielką spontanicznie powstałego chóru dzieci ustaliliśmy, że spotkania będą co miesiąc. W pierwszej części będzie nauka pieśni kościelnych, w drugiej ja przez 15 minut będę miał katechezę (zamierzam wyjaśniać teologiczną treść śpiewanych pieśni i uczyć o Mszy Świętej). Trzecia część próby będzie do dyspozycji założycielki chóru, a dzieci będą uczyć się piosenek, które uświetnią imprezy polonijne. Program tej trzeciej części już mnie nie interesuje. Nasz organista zaśpiewał przy mikrofonie dwadzieścia pieśni ze śpiewnika parafialnego, ja skopiowałem dla każdej rodziny (20 kaset) i od września dzieci będą śpiewać wspólnie podczas próby i w kościele podczas Mszy Świętej. W całej tej sprawie nie podoba mi się jedno pragnienie zawodowych śpiewaków: robią wszystko, abym ja był zadowolony. A ja zadowolony nie jestem. Dlatego dziś zamieszczam skrót legendy o śpiewających mnichach. Lubię śpiew od siedmiu fałszów i czternastu boleści, byle był śpiewany na chwałę Bożą.

Jeden ze starych cmentarzy ottawskich powiększono. Polacy mają tam swoją działkę (450 grobów) przy jedenastej stacji Drogi Krzyżowej, posadzono tam nawet trzy brzoźki na wyraźne życzenie Polaków. Dziwili się ludzie z zarządu cmentarza, ale wykonali. Dowcipnie żartują, że jest to rekompensata za brak domu dla starszych Polaków w Ottawie. O dom polskiego seniora od przynajmniej dziesięciu lat starały się różne komisje. W zebraniu jednej z nich przed trzema laty nawet uczestniczyłem w charakterze niemego świadka. Polacy już zaczynają wykupywać działki. W drugą niedzielę lipca odbyło się otwarcie-poświęcenie nowej części cmentarza. Uczestniczyłem w charakterze osoby oficjalnej wraz z księdzem proboszczem parafii katedralnej. Przez kilka minut, bezskutecznie oczekując na przybycie trzeciego duchownego (przedstawiciela kościoła protestanckiego) rozmawialiśmy po francusku. W czasie ceremonii każdy z nas dwóch miał najwyżej 5 minut do powiedzenia czegoś ważnego. Ksiądz proboszcz przemówił po francusku i angielsku, ja przeczytałem kilka zdań po francusku i po polsku, co zajęło mi najwyżej

cztery minuty, ale przygotowanie wymagało kilku godzin i to nie w jednym dniu. Dopiero piąta wersja mnie zadowoliła. Była harfa, śpiewacy, służba cmentarna (trudno byłoby trafić bez nich do namiotu, który dawał cień) – całość trwała 30 minut. Potem niektórzy poszli do stoiska z bezpłatnymi napojami, część Polaków ustawiła się do zdjęcia na swojej przyszłej działce, tam poprowadziłem króciutkie modlitwy i poprosiłem o odwiezienie mnie do domu. Parafianin był zmuszony zmienić koło, po raz pierwszy od 10 lat. Przy okazji dowiedziałem się, że koła zapasowe pewnych typów samochodów są mniejsze, ale pozwalają bezpiecznie dojechać do najbliższego warsztatu naprawczego. Z tym były kłopoty: w niedzielę w pobliżu nie było czynnego warsztatu naprawczego, ale do domu dojechałem. I znów miła niespodzianka: kierowca innego samochodu zobaczywszy nas stojących nad kołem bez powietrza zaproponował swoją pomoc. Nie było potrzeby, ale dobrze o nim świadczy. Ja byłem w stroju kapłańskim, a chętny do pomocy powiedział mi, że „on jest do mnie podobny”, czyli też księdzem.

Przy tej okazji przeżyłem dwie niespodzianki. Otrzymawszy program otwarcia-błogosławieństwa nowej części cmentarza nie skontaktowałem się z księdzem proboszczem katedry i jako strój na tę uroczystość wzięłem białą stułę z wymalowanym oblackim krzyżem. Byłem oczywiście w czarnym garniturze i czarnej koszuli kapłańskiej. Spodziewałem się, że w takim samym stroju przybędzie drugi kapłan, choć duchowny protestancki będzie „ozdobniej” ubrany. Tymczasem ten ksiądz przybył od razu ubrany w albę i stułę. Wtedy ja poprosiłem o otwarcie mi samochodu, w którym na wszelki wypadek zostawiłem albę. Drugą niespodziankę przeżyłem dwa dni później, kiedy w kopercie do mnie zaadresowanej znalazłem czek na 100 dolarów jako prezent od zarządu cmentarza z okazji uczestniczenia w tej uroczystości. Zapłaty nie oczekiwałem uważając swój udział za kapłański obowiązek. Ale pieniądze wydałem rozsądnie, jak mi się zdaje: potrzebowałem spodnie na czas urlopu.

W Kanadzie ksiądz szanuje się bardziej, niż we Francji. Tam odprawiając nabożeństwo pogrzebowe ksiądz sam musi troszczyć się o dojazd na cmentarz. Tutaj ksiądz jedzie w pierwszym samochodzie - czarnej limuzynie. Drzwi samochodu otwiera i zamyka kierowca. Za tym samochodem jedzie inny czarny samochód, w którym przewozi się ciało zmarłego. Wszyscy uczestnicy pogrzebu jadą w jednej kolumnie, a inni kierowcy starają się nie przerywać tego konduktu. I nieraz kierowcy czekają pomimo prawa pierwszeństwa. Kierowca pierwszego samochodu uważa, aby innych nie pozostawić zbyt daleko za sobą. W Kanadzie w wieczór poprzedzający pogrzeb ksiądz przewodzi modlitwom, w czasie których odmawia się częśćkę Różańca chyba, że rodzina życzy sobie modlitwy bardzo krótkiej i wystarcza im jedna dziesiątka. Kolor liturgii pogrzebowej jest biały na znak wiary w Zmartwychwstanie Chrystusa i zmartwychwstanie nasze. W Polsce podkreśla się wiarę w czyściec i w skuteczność naszych modlitw zadośćuczynnych za zmarłego, więc używało się koloru czarnego, obecnie często fioletowego. Od czasu Soboru Watykańskiego II w czasie pogrzebu można śpiewać pieśni wielkanocne. Trzeba jednak uważać na ich treść, aby podkreślały fakt Zmartwychwstania Chrystusa. Pewien organista pouczony o nowych przepisach zaraz na samym początku Mszy Świętej zaintonował: „Wesoły nam dzień dziś nastał”.

*Z serdecznym pozdrowieniem*

*W Chrystusie i Maryi Niepokalanej*  
O. Jan Sadowski, OMI

## **LEGENDA O ŚPIEWAJĄCYCH MNICHACH**

Przed wielu, wielu laty, w głębokich ostępach leśnych żyło bractwo starych, bardzo starych mnichów, tak starych, że niektórzy z nich stali już jedną nogą w przedśionkach nieba. Lecz ich serca pozostały młode i gorące w służbie Bożej, a ich miłość była tak żarliwa, że śpiewane hymny pochwalne i dziękczynne rozbrzmiewały tym donioślej, im bardziej kolejne lata przygniatały ich

barki, a głowy pokrywały się siwizną coraz bardziej. Ich radosne śpiewanie słyhać było z daleka i wielu ludzi zastanawiało się ze zdumieniem;

- Z czegoż to cieszą się czcigodni braciszczowie, przecież wcale nie mają powodu do radości?

Rzeczywiście, było to prawdą, co mówili ludzie. Czciogodni bracia nie posiadali nic z tego, co w ziemski sposób nadaje urok życiu. Mieszkali oni w jaskini położonej w lesie, w której popękane szczeliny służyły im za okna, a której jedynym luksusem były drewniane drzwi, postawione przed wejściem pewnej zimowej nocy przez czyjeś nieznanne ręce - może przez anioła? Dał wówczas północny wiatr, zły jak sam diabeł, a w pobliżu słyhać było wycie wilków.

Mnisi podziękowali Bogu za drzwi i cieszyli się, że mają teraz coś, co będzie można otworzyć, kiedy na przykład ktoś zabłąkany będzie szukał schronienia. Drzwi sprawiały im taką samą radość, jaką sprawiało im wspaniałe słońce, czysta woda, jasny księżyc. Starzy mnisi wyśpiewali swoją wdzięczność hen, w głęboki las. Ponieważ jednak byli tylko ludźmi, w sędziwych latach życia również dźwięk ich głosów pogorszył się, a złemu światu zaczęły przeszkadzać pochwalne pieśni, bo zakłócały jego przyjemności, dostatnie życie i radości.

- Czyż braciszczowie nie przestaną wreszcie - zrzędzili leniwcy - budzą nas ze snu.

- Tracimy apetyt - uskarżali się żarłocy.

- To brzmi jak żalosne dzwony - mówili złoczyńcy.

- Ten wrzask przenika do szpiku kości - mówili bezbożni.

- Nawet jeśli nie przenika, to jednak fałszują fatalnie, że pożał się Boże - myśleli inni.

I to, niestety, była jedyna prawda w całym tym gadaniu. Wspaniali starzy mnisi fałszowali niemiłosiernie. Z pewnością znajdowali dla siebie dobre usprawiedliwienie. Niektórzy z nich niedosłyszeli, i ze strachu, że nie będą mogli dotrzymać kroku innym, wybiegali zawsze o kilka taktów do przodu, inni natomiast, po tak wielu latach nie potrafili już określić swego głosu i nie wiedzieli, czy byli tenorami, barytonami, czy basami, więc w nadgorliwości śpiewali każdym głosem po trosze. Poza tym był jeszcze jeden kochany braciszek, który wydobywał z gardła tylko jeden głęboki ton i z entuzjazmem wkładał weń wszystko, co tylko potrafił.

- Czciogodny brat Laurenty brzęczy jak bąk - uskarżał się już od dawna słowik w lesie.

- A brat Bonifacy nie ma za grosz słyhu - gwizdał kos.

- To zawodzenie - zgrywał waźniaka gil.

A ptaki, do których niegdyś przemawiał święty Franciszek, ukrywały swoje łapki pod skrzydełkami, żeby nie słyhać rozbrzmiewających głęboko w lesie śpiewów na chwałę Bożą.

Szybko mnisi zrozumieli wymowne milczenie ptaków. Dotknęło ich ono głębiej niż głośnie wymówki ludzkie. Mimo to z całą pokorą nie przestawali chwalić Boga za pomocą tych skromnych środków, jakie mieli do dyspozycji.

Przyszło Boże Narodzenie. Cały las wyglądał jak jedna biała kaplica, w której zimowe słońce wyczarowało jasne iskierki świec na zwisających soplach lodu. W ów wigilijny wieczór bracia modlili się do późna w noc, a kiedy powstali, by rozpocząć śpiewanie, ktoś zastukał do drzwi.

- Proszę wejść! - powiedzieli bracia chórem i otworzyli drzwi. Na progu stał młody mężczyzna i na pół zeszywniały z zimna prosił o chleb i schronienie. Braciszczowie przyjęli go tak, jak gdyby podejmowali gościa Bożego.

Młodzieniec przyjął, czym go poczęstowano, jadł co było w miarę jadalne i dziękował za uratowane mu życie. Opowiadał, jak to on, młody śpiewak, musiał uciekać w ciemną, mroźną noc z książęcego dworu, aby ująć przed prześladowaniami wrogów, którzy mu zazdrościli przychylności księcia.

- Śpiewak, prawdziwy śpiewak wśród nas - cieszyli się dobrzy bracia.

- To będzie dopiero Pasterka! - radował się brat Laurenty - Wszyscy będą musieli słyhać.

Tak też się stało. Śpiewak śpiewał tak, jak jeszcze nigdy nie śpiewano w tym lesie, tak wspaniale, że łąki, pola i wieś zamieniły się w słyhu. Żaden z braci nie otworzył ust tego wieczora. W głębokim skupieniu poskładał ręce, a łzy wzruszenia spływały im po pomarszczonych twarzach.

Niebo też musiało się tej nocy bardzo do nich przybliżyć, by móc wsluchać się w ten wspaniały śpiew w noc Bożego Narodzenia. Z całego serca mnisi pobłogosławili młodego śpiewaka, a ten tak się tym wzruszył, że postanowił zostać jeszcze jeden dzień i pójść wraz z nimi do kaplicy we wsi.

Jeszcze się nie rozwidniało, kiedy wyruszyli na poranną Mszę, a z ciemności wyłaniały się jak zjawy jeszcze ciemniejsze postacie chłopów, którzy zdążali ze swoich wsi do kaplicy.

Kiedy zakonnicy chcieli otworzyć drzwi do kaplicy, twarze ich oświetliło jasne jak błyskawica światło. Było ono tak jaskrawe, że w pierwszej chwili musieli zamknąć oczy. W jasnej glorii stanął przed nimi anioł i kiedy wreszcie mogli już patrzeć, zauważyli, że spoglądał na nich bardzo smutnym wzrokiem.

- Co się stało z czcigodnymi braćmi - zapytał łagodnie - że w noc Bożego Narodzenia musieliśmy obyć się bez ich wspaniałego śpiewu?

Wielki, promienisty anioł kilkakrotnie musiał powtarzać swoje pytanie, zanim bracia zrozumieli, że odnosi się ono do nich.

- My i wspaniały śpiew! Bracie Niebieski, przepraszamy, ale to chyba nie o nas chodzi? My fałszujemy, jak powszechnie wiadomo - odpowiedzieli mu zgodnym chórem.

- Ja przecież jestem bąkiem – poskarżył się brat Laurenty.

- A ja nie mam słuchu – powiedział brat Bonifacy.

- Mnie głos zawsze ucieka – westchnął trzeci.

Anioł potrząsnął głową.

- My tam, na górze, słyszymy tylko wspaniały hymn pochwalny, pochodzący z głębi waszych serc, a wczorajszego błogosławionego wieczoru byliśmy go pozbawieni.

- Za nas śpiewał śpiewak obdarzony wielkim talentem. Czy nie słychać było jego wspaniałego głosu?

- Nie - powiedział z namysłem anioł - nawet najpiękniejszy głos nie może do nas dotrzeć, jeśli nie potrafi zapomnieć o sobie i jeśli nie będzie natchniony miłością Bożą.

Anioł znikł, wszyscy uklękli na progu kaplicy, a śpiewak, który nic nie widział i nie słyszał, lecz zauważył przerażenie mnichów, a potem ich adorację, poprosił, aby mu powiedzieli, co się wydarzyło, i spuścił głowę.

- Módlcie się za mnie, wielebni bracia, aby pewnego dnia również i mój głos był godzien znaleźć drogę do nieba - poprosił z powagą. Powiedziawszy to, odszedł w samotność, aby służyć tylko Bogu w pokorze i miłości.

Natomiast śpiewający mnisi aż do śmierci wyśpiewywali swoje hymny wielbiąc Boga. Ostatni z nich, brat Laurenty, śpiewał jeszcze na łożu śmierci swoim pięknym, jednym tonem:

- Pochwalony niech będzie Pan, który łaskawie pochyla się nad każdą pieśnią, płynącą z czystego serca i z dobrej woli. Amen.

*Helene Haluschka*